

W świetle odchodzącego dnia oczy matki dziwnie połyskiwały. Patrzyły na mnie spojrzeniem przerażonego zwierzęcia. W tym wzroku było coś niepokojącego, coś, co przypominało krzyk duszy. Nachyliłem się nad łóżkiem i poprawiłem poduszkę, która wysunęła się spod głowy matki.

– Teraz będzie ci wygodniej – powiedziałem, gładząc jej przyprószone siwizną włosy. Ścisnęła z całej siły moją rękę, otwierając szeroko usta, tak jakby krzyczała. Ciemnoniebieskie tęczęwki błyszczały strachem i niedowierzaniem.

– Kim jesteś? – zapytała cicho, niemal bezgłośnie. Kurczowo zacisnęła palce na moim nadgarstku. Miała chłodną, prawie przezroczystą skórę, pod którą prześwitywała pajęczyna cienkich żyłek.

– Mamo, to ja, Fryderyk.

– Fryderyk... – Uśmiechnęła się bezwiednie, usiłując skinać głową. Przymknęła powieki, a kiedy ponownie je uniosła, dostrzegłem w spojrzeniu spokój. Iskierka radości rozlała się po jej twarzy, policzki zaróżowiły się, a usta nabrały żywszej barwy.

– Fryderyk, mój, syn... – wyszeptała.

– Tak, mamo.

– A on?

– Kto?

– Tamten człowiek...

– To był lekarz. Zrobił ci zastrzyk. Już sobie poszedł.

Miała suche, popękane wargi. Nappełniłem szklanek wodą i podałem jej do picia. Przełknęła łąpczywie, delektując się każdą kroplą.

– Chcesz jeszcze?

– Nie, dziękuję. – Oblizwała językiem mokre usta.

Na przedramieniu dostrzegłem świeżo zaschniętą krew. Matka rozdrapała ranę, która nie zdążyła się wygoić. Przygotowałem opatrunek i opatrzyłem uszkodzoną skórę. Smuga światła, która

wpadała do wnętrza spomiędzy zasłon, stawała się coraz bledsza, zapaliłem więc nocną lampkę. Przyjemna jasność napełniła pokój ciepłem, rozświetlając skromne umeblowanie sypialni. Matka wpatrywała się we mnie pogodnym wzrokiem. Ułożyłem ją wygodnie na łóżku i opatuliłem kołdrą aż po samą szyję.

– Będzie dobrze – powiedziała, a ja odruchowo przytaknąłem głową. – Już czuję się lepiej. Dużo lepiej.

Zdawałem sobie sprawę, że jest to złuda. Matka dostała zastrzyk, który polepszył samopoczucie i chwilowo uśmierzył ból. W szeroko otwartych oczach pojawiła się nadzieja. Nie miałem odwagi powiedzieć prawdy, że jedynie cud może przywrócić jej zdrowie.

Naraz skrzypnęły drzwi i w progu pokoju pojawił się Tadeusz. Podeszedł do łóżka chorej.

– Witaj, Helenko – wychrypiał nieswoim głosem. Nerwowo przełknął ślinę. – Ugotowałem rosół. Zaraz ci przyniosę. Zobaczysz, że po takiej pożywnej zupie od razu poczujesz się lepiej. Mam rację, Fryderyku?

– Tak – odparłem.

Biedny Tadeusz naiwnie wierzył, że talerz rosółu, niczym dotknięcie magiczną różdżką, jest w stanie cudownie uzdrowić.

– Jesteś silna, Heleno, i staniesz na nogi! – dodał po chwili. Zagryzł wargi i popatrzył na mnie w oczekiwaniu, że potwierdzę jego słowa. Celowo unikałem spojrzenia Tadeusza, wodząc wzrokiem po przybrudzonych ścianach. Wyraźnie dostrzeżałem, jak z każdym dniem matka słabła w oczach i gasło w niej życie, ale swoje spostrzeżenia zatopiłem głęboko w sercu. Nie potrafiłem zdobyć się na bolesną szczerość. Cicho westchnąłem i wyjąłem z torby pudełko z lekarstwami.

– To w takim razie pójdę do kuchni, żeby podgrzać zupę. Rosół musi być gorący – powiedział, a ja skinałem głową.

Kiedy wyszedł z sypialni, usiadłem na brzegu łóżka, spoglądając na twarz matki. Drżącą ręką pogłaskałem jej policzki.

– Co u ciebie, synku?

– Wszystko dobrze. – Poczulem ucisk w gardle, jednak nic nie dałem po sobie poznać. – Połknij tabletkę. Za chwilę wróci Tadeusz z obiadem, a potem odpoczniesz. Zawsze powtarzałaś, że po jedzeniu trzeba odpocząć, pamiętasz?

Uśmiechnęła się nieporadnie.

– Fryderyku?

– Słucham, mamó?

– Ja wszystko wiem. Wiem, że ta poprawa to tylko na moment. Jest jak motyl, który przysiadł jedynie na chwilę i wkrótce odfrunie – jęknęła cicho.

Nerwowo zacisnęła usta. – Pamiętasz, jak śpiewałam ci kołysanki?

Przytaknąłem.

– Bardzo lubiłeś ich słuchać. Wymyślałam wciąż nowe zwrotki, które zapisywałam w zeszytiku. Miałam cichą nadzieję, że któregoś dnia zaśpiewam te kołysanki również moim wnukom.

– Bo zaśpiewasz, zobaczysz.

Próbowała się unieść, ale zabrakło jej siły i opadła na poduszkę.

– Wiesz, że to nieprawda. Niedługo pożegnam się z wami.

Nie zdążyłem nic odpowiedzieć, bo w korytarzu za drzwiami rozległ się tupot nóg i do sypialni wbiegła Róża.

– Mamusiu, mamusiu, zobacz, co przyniosłam! – Otworzyła dłonie, na których pyszniły się świeże kasztany. – Zrobisz ze mną ludziki?

– Różo, mama jest chora. Ja pomogę ci zrobić kasztanowe ludziki, dobrze?

Grymas jej twarzy wyraził rozczarowanie.

– A mama? – spytała cichutko.

– Mama potrzebuje spokoju.

Objąłem dziewczynkę ramieniem i mocno przytuliłem do piersi. Po chwili poczułem na koszuli wilgoć jej łez.

– Cii, nie płacz, mama wyzdrowieje – wybąkałem. Moje kłamstwo wypływało z racji serca.

Nie potrafiłem powiedzieć dziesięcioletce prawdy o chorobie matki.

– Naprawdę?

– Naprawdę. Gdzie znalazłaś takie śliczne kasztany?

– Na podwórku.

– Ho, ho, to nasz kasztanowiec tak pięknie obrodził – ucieszyłem się. Odruchowo zerknąłem za okno, gdzie rosło dorodne drzewo. Pośród jego gałęzi czaił się zmierzch, zachodzące w oddali słońce rzucało ostatki światła, aby po chwili zupełnie zniknąć z horyzontu. Kasztanowiec. Pamiętam go doskonale. Dorastałem razem z nim, obserwując, jak z każdym rokiem niepozorne drzewko stawało się potężniejsze i rodziło coraz więcej owoców. Razem mężnieliśmy.

Z zamyślenia wyrwał mnie odgłos otwieranych drzwi. Wrócił Tadeusz, niosąc talerz z zupą. Przyjemnie zapachniało rosołem. Podciągnęliśmy chorą na łóżku, tak żeby mogła wygodnie oprzeć się o zagłówek. Potem spojrzałem w jej oczy. Pomimo słabości uśmiechały się łagodnie. Były to te same oczy, które z dumą spoglądały na mnie podczas koncertów, kiedy elegancko ubrany wchodziłem na podium, zasiadałem przy pianinie i kładłem na klawiaturze dłonie, aby chwilę później wydobyć z instrumentu dźwięki muzyki. Były to oczy kobiety, która stała się dla mnie matką.